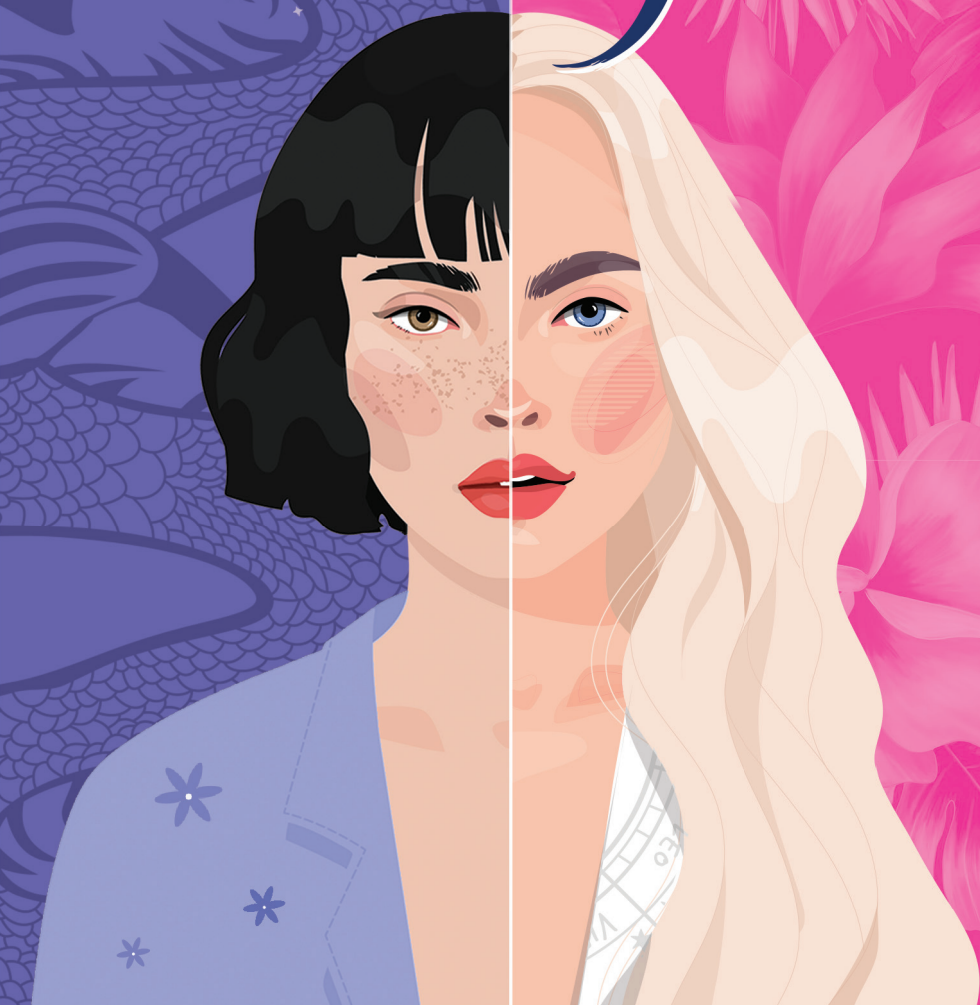


BEATA MAJEWSKA

CZY MOŻNA ZAPOMIEĆ O DAWNYCH NIESZCZĘŚCIACH
I SPOJRZEĆ W PRZYSZŁOŚĆ Z UFNOŚCIĄ?

Cataja



Cataja

The background of the entire image is a dense, monochromatic pattern of tropical foliage. It features various types of leaves, including large, deeply lobed monstera leaves, palm fronds, and broad, pointed leaves. Interspersed among the leaves are several large, five-petaled flowers, likely hibiscus, rendered in a light, ethereal tone. The overall aesthetic is soft and elegant, with a focus on natural textures and shapes.

BEATA MAJEWSKA

Cataja

MIRAZ



Stan polskich dróg jest podobny do stanu mojego ducha. Jedna wielka pieprzona beznadzieja. Zjechałem z autostrady i się zaczęło. Kilometry beznadziei. Ale to skończona beznadzieja. Po sześciu godzinach od przekroczenia granicy mijam wreszcie tablicę z napisem Grabówek. Nawet ona jest straszna. Pokrzywiona i brudna, zapaskudzona, że nie widać liter.

Na rondzie drugi zjazd.

„Jakie rondo? Tu przecież nie ma żadnego ronda!”

Jedź prosto trzysta metrów.

Potem łagodnym łukiem skreć w prawo.

„To jest łagodny łuk?”

Na rozwidleniu w lewo.

Jedź prosto.

Pięćdziesiąt metrów do celu.

Na prawo.

Ostatnią prostą pokonuję z prędkością, która jest zabójcza nie tylko dla mojego samochodu. Biedna dziewczyna, miała pecha lub inaczej – nie miała fartu. Ta ulica to jedna wielka dziura. Na dodatek pogoda jest obrzydliwa. To ma być styczeń? Od Nowego Roku jest na plusie. Zwały śniegu spłynęły na jezdnię i utworzyły pulpę do złudzenia przypominającą zblendowany ludzki mózg. Właśnie tym oberwała laska w białym palcie. Gdybym nie był taki wściekły na świat, pewnie wrzuciłbym wsteczny, wysiadł, przeprosił, zaproponował kasę na pralnię, a może nawet zaprosił dziewczynę na kawę. Ale jestem wściekły. Bezmiernie wkurzony.

Ledwie wyprowadzam auto na zakręcie. Co za debil wymyślił progi zwalniające w tym miejscu? Jeszcze tylko nieszczęsny wąski mostek prowadzący do posesji i już.

Przybywasz do celu.

Na prawo.

Wysiadam z auta. Moje buty w sekundę stają się mokre, bo jak okiem sięgnąć, wszędzie kałuże. Ewentualnie mózdzek. Szaro, buro i bez nadziejnie. Na gałęziach ogołoconych z liści siedzą wielkie czarne ptaszyska. Siedzą i głośno kraczą. Klaszczę kilka razy, ale mają to w nosie, więc wyciągam ręce nad głowę i robię kilka wymachów. Bołą mnie plecy.

– Dzień dobry! – wykrzykuje tęgi koleś. Biegnie w moją stronę. Z daleka widać, że jest zdyszany, a jego twarz ma barwę sosu tabasco. Zawsze to jakaś odmiana kolorystyczna w krainie ponurych barw i wielkich jezior na jezdni. – Dzień dobry! – drze się i macha.

W końcu on też „przybywa do celu”. Ledwie żywy. Po co tak biegł? Przecież mu nie ucieknę.

– Dzień dobry! – Wyciąga rękę. – Od rana czekamy – dyszy.

– Dzień dobry – odpowiadam, na moment zadzierając głowę ku niebu. – Paskudna pogoda.

– Pan Hans dzwonił. Mówił, że...

– Mogę wejść? – przerywam i wskazuję brodą drzwi. – Zimno.

– Oczywiście, zapraszam! – Niewiele brakuje, a zgiąłby się wpół niczym szwajcarski scyzoryk.

Omijam go i idę w stronę głównego wejścia do budynku. Już prawie wchodzę do środka, gdy przypominam sobie o bagażu. Odwracam się na pięcie. Jednoosobowy komitet powitalny nadal stoi przy moim samochodzie i zagląda do wnętrza przez boczną szybę. Jak on ma na imię? Marcus? Marszczę czoło. Nie przypominę sobie.

– Marcus!

– Słucham! – Odskakuje od auta. – A w ogóle to na imię mam Marek!

– Okej. Weź, proszę, moją torbę, jest w bagażniku. – Rzucam mu pilota. Leci, leci, przelatuje nad głową tej ofermi i plusk! Trafia w sam środek małej kałuży. Nie wierzę. – A jak przyniesiesz torbę, możesz pojechać do myjni.

– Dobrze! – wykrzykuje radośnie jak dziecko.

Przybyłem do celu.

Przybyłem?



Milena

Stoimy tu już godzinę. Listopadowy wiatr smaga nasze twarze, siecze drobniutkim deszczem i powoli wypiera wszystkie uczucia i refleksje na rzecz jednej myśli: „zimno”. Zakładam kaptur i zerkam na mamę. Nie chcę jej popędzać, tym bardziej że rzadko tu przychodzimy, zwłaszcza ja. Od śmierci taty odwiedziłam jego grób zaledwie cztery razy, dzisiejsza wizyta jest piąta. Pół roku i tylko pięć spotkań, ale ja naprawdę nie lubię cmentarzy. Nie znoszę tego miejsca i zupełnie nie pojmuję, jak można codziennie przychodzić na czyjś grób, nawet gdy się kogoś bardzo kochało. Przecież to jak rozdrapywanie strupa. Ciągłe i ciągle. Patrzą na napis: „Cezary Kowalik”. Widzę też dwie daty, ta urodzinowa to ósmy listopada, jak dzisiaj. Właśnie dlatego tu jesteśmy i mniej lub bardziej cierpliwie znosimy kaprysy pogody. Prócz imienia i nazwiska taty

kamieniarz zamieścił sentencję *Memento mori*, pewnie uznał, że idealnie pasuje do eleganckiego czarnego marmuru, ale dla mnie to tylko litery i cyfry, bo dla serca nie liczą się napisy, lecz człowiek.

Tata uśmiecha się ze zdjęcia. Jest na nim taki przystojny i młody, że aż ściska mnie w dołku. Żył za krótko. Co to jest czterdzieści pięć lat? Nic. Mama mówi, że tata żył za krótko i za intensywnie. Trochę się z nią zgadzam, a trochę nie. Może czuł, że nie ma przed sobą zbyt wiele czasu, stąd jego pęd do czerpania życia pełnymi garściami? Nie mam do niego żadnych pretensji, może tylko tę jedną jedyną, że wtedy za szybko jechał. Lubił szybką jazdę. Kiedyś zabrał mnie na przejażdżkę swoją corvetta. To było zaraz po tym, kiedy ją kupił. Nie zapomnę, co wtedy czułam. Jechaliśmy najszybciej, jak się dało. „Gaz do dechy!” Wiatr szarpał włosami, drażnił oczy do łez, prawie tak samo jak dzisiaj, ale wtedy było lato. Nigdy nie powiedziałam mamie, że tata wycisnął z corvetty maksimum osiągow. Dopiero zmyłaby mu głowę. Narzekała, że jeździ niebezpiecznie, ale jakoś to tolerowała, za to gdy jechaliśmy gdzieś we trójkę, nie pozwalała mu na żadne szaleństwa. Ze względu na mnie.

– Szkoda, że nie jestem taka jak tata – mówię cicho. Mój głos tłumi puszysty szal, więc mama prosi, żebym powtórzyła. – Chodzi mi o wygląd.

Chciałabym mieć jego urodę. – Wpatruję się w zdjęcie.

Uwielbiałam jego czarne włosy, oliwkową cerę i ciemną oprawę oczu.

– Tata był prawdziwym przystojniakiem. Wiesz, jak na niego mówili? – Mama patrzy w moją stronę.

– Jak?

– Gdy go poznałam, miał ksywkę „Hiszpan”.

– Hiszpan? – parskam śmiechem, a po krótkim namyśle stwierdzam, że całkiem trafny ten przydomek. – Nigdy mi tego nie mówiłaś. Tata też.

– W domu coś ci pokażę.

– Wracamy już? – pytam nieśmiało, bo nie chcę wyjść na bezduszną gówniarę, której w głowie tylko internet i znajomi.

– Wracamy. Okropnie przemarzłam. – Mama pociera ramiona.

Obie dosyć ciepło się ubrałyśmy, ale i tak nie uchroniło nas to przed przenikliwym zimnem. Idziemy w stronę bramy cmentarza, po drodze mijamy monumentalne grobowce „sąsiadów” taty. W tym rejonie nekropolii wszystkie wyglądają podobnie, są duże i wykonane z najdroższych marmurów i kamieni, można rzec – pokazowe miejsca spoczynku, ale jakie to ma znaczenie? Może ma dla tych, którzy jeszcze żyją? Mój tata też ma taki grobowiec, małe mauzoleum z miejscem dla kilku osób. Okropne.

Nie podoba mi się to, ale mama uznała, że tak będzie właściwie.

– Ta pani chyba codziennie tu przychodzi – szepczę cicho, gdy mijamy jeden z nich. – Za każdym razem ją widzę.

– Uhm – potwierdza mama. – Ja też. Pochowała córkę, młodą dziewczynę, w twoim wieku – dodaje i chwytając mnie za rękę, jakby chciała się upewnić, że jestem tu, obok niej, żywa, z krwi i kości. – Straszne. Najgorsze, co może przeżyć matka.

– Kiedy to było?

– Parę tygodni przed śmiercią twojego taty.

– Aha.

– Nie mówmy o tym. – Mamą wstrząsa nagle dreszcz.

Obie przyspieszamy, a gdy widzimy nasz samochód, jeszcze szybciej pokonujemy kilkanaście metrów dzielących nas od wyjścia z cmentarza.

– Panie Józefie, proszę podkreślić ogrzewanie, okropnie zmarzliśmy – prosi mama, ledwie obie zajęłyśmy miejsca na tylnej kanapie.

– Już się robi – mruczy nasz kierowca.

Ruszamy. Zdejmuję rękawiczki i rozcieram zgrabiałe dłonie, mama robi tak samo i gdy to zauważa, parska pod nosem.

– Niestety, ale nie jesteś podobna do taty. To po mnie masz wszystko. – Na jej twarzy błąka się delikatny uśmiech. – Mam nadzieję, że aż

tak cię to nie martwi. Niektórzy twierdzą, że jestem... byłam – poprawia się szybko – dosyć ładną kobietą.

– Nadal jesteś ładna. Masz śliczne oczy, prawdziwie niebieskie, nie jakieś tam szarobure, i włosy masz piękne. Naturalny blond to pragnienie wielu kobiet. I twarz masz piękną. – Nie wiem czemu obsypuję mamę tyloma komplementami. Jeszcze mi się nie zdarzyło, żeby mówić jej wprost, że jest śliczna. Dziwne. – I usta masz ładne. Pełne i symetryczne. – Mrużę oczy, by lepiej skupić wzrok.

– Dziękuję. A teraz pomyśl to samo o sobie. – Mama kładzie dłoń na mojej ręce i lekko ją ścisną. – Jesteś prawie taka sama, tylko młodsza. I ładniejsza.

– Ja? – prychnę, gdy słyszę te słowa. – Nie jestem.

– Masz piękne włosy. – Przenosi na nie spojrzenie. – Długie, gęste, zdrowe i z takim samym skrętem.

– Nie lubię ich, wolałabym proste. Nie loczki i fale. – Odruchowo przyglądam fryzurę.

– Jeszcze docenisz to, że się kręca. – Mruga do mnie.

– Nie mam twojej figury – stwierdzam cicho, bo nie chcę, żeby pan Józek mnie usłyszał. Moja tusza to źródło nieustannych kompleksów i problemów i chociaż wszyscy wokół mówią, że

przesadzam, wiem swoje. – Ważyłam się dzisiaj rano – mówię, jakbym nie robiła tego codziennie i to dwa razy: rano i wieczór.

– I jak?

– Szóstka z przodu.

– Ech... – Mama kręci głową. – Poczekaj, jeszcze rok, dwa i pojawi się piątka. Gdy miałam szesnaście lat, ważyłam prawie siedemdziesiąt kilo. To dopiero wynik. – Znów ściska moją dłoń. – A teraz przestań już o tym myśleć, bo nie zjesz kolacji, a pani Basia na pewno przygotowała nam coś pysznego. Prosiłam o placki z jabłkami i cynamonem.

– Ech... – Teraz to ja wzdycham ciężko, bo co jak co, ale placki naszej gosposi są najlepsze na świecie i już wiem, że nie skończy się na dwóch czy trzech, tylko co najmniej sześciu.

Dzieje się tak, jak przewidziałam. Wracamy do domu, a tam już na nas czekają. Magda rozpałała we wszystkich kominkach, nawet w głównym salonie, z którego ostatnio nikt nie korzysta, i w bibliotece. Zjadamy kolację, zaliczam aż siedem pachnących puszystych placuszków, oprószonych cukrem pudrem i cynamonem, a mama rozmawia z panią Basią o tym, co ma przygotować na niedzielne popołudnie, bo spodziewa się kilku przyjaciółek. Potem czas na relaks. Myślałam, że pójdę do siebie i dokończę książkę, jutro sobota i nie idę do szkoły, ale mama

przypomina, że miała mi coś pokazać. Sadowimy się u niej. Sypialnia mamy, tak samo jak moja, prócz dużej garderoby ma jeszcze przylegający do niej salonik, a raczej buduar – tak właśnie mama określa ten pokój. Uwielbiam go. To najładniejszy pokój w całej rezydencji, zaprojektowany według wskazówek mamy przez architektów, którzy urządzali cały nasz wielki dom.

– Siadaj. – Mama klepie miejsce na szeslongu, tuż przed kominkiem. – Zaraz coś zobaczysz. – Wraca szybko z drewnianą kasetką oklejoną muszelkami. – To prezent od twojego taty – informuje i siada przy mnie. – Dostałam ją, gdy Czarek pierwszy raz zabrał mnie nad morze.

– Jeszcze nie było mnie na świecie.

– Jeszcze długo nie.

Mama powoli podnosi wieko i pokazuje zawartość kasetki. Domyśliłam się, że to będą zdjęcia, bo cóż innego, ale od razu spostrzegam, że nigdy ich nie widziałam, i trochę mnie to dziwi. Dlaczego nie pokazała mi wcześniej tych fotografii? Nawet nie wspomniała, że je ma. Tata też nigdy nie mówił o tej pamiątce. Pytam, czemu ukrywała je przede mną.

– Nie ukrywałam ich. – Mama bezwiednie zagryza wargę. – Tak się złożyło.

– Raczej nie złożyło – mówię z lekkim wyrzutem. – Szkoda, że wcześniej nie mogłam ich pooglądać, kiedy żył tata. – Precyzuję. Biorę

pierwsze z góry i przez chwilę patrzę na moich rodziców. Siedzą przy ognisku, ich radosne twarze rozświetla blask płomieni. Tata obejmuje mamę, a ona trzyma w ręku patyk z nabita kielbaską. Oboje mają na sobie wzorzyste swetry, mama w czarno-białą pepitkę, a tata w kolorowe romby.

– Śmieszne ciuchy. – Siłę się na wesoły ton, ale na widok taty wzruszenie ściska mi gardło.

– Taka była wtedy moda. To swetry z Turcji, Czarek je importował, jeśli można tak powiedzieć. Swetry i džinsy. I katany, czyli kurtki džinsowe – dodaje, jakbym nie wiedziała, co to katana.

– Wraca moda na romby – mówię, żeby nie było jej przykro.

– Gdyby nie te tureckie ciuchy, nie byłoby tego wszystkiego. – Przez chwilę rozgląda się wokół. – To pozwoliło chłopakom zgromadzić kapitał na start. Przecież obaj zaczynali od zera.

– Wiem.

Odkładam zdjęcie i biorę kolejne. Na większości są tata z mamą, czasami tylko mama albo oboje z jakimiś znajomymi.

– A gdzie Jacek? – pytam, bo wydaje mi się to dziwne, że na żadnym ze zdjęć nie ma jedyne go przyjaciela i współnika ojca. Odkąd pamiętam Jacek, choć niespokrewniony z nami, był dla nas kimś bliskim, prawie stale obecnym w życiu

naszej rodziny. – Robił zdjęcia? – żartuję i spoglądam to na fotki, to na mamę.

– Jacek był na zdjęciach, ale...

– Ale co?

– Zabrał wszystkie. Kiedyś nie robiło się tylu zdjęć, co teraz. Film miał trzydzieści parę klatek, a odbitki dużo kosztowały. Jacek zabrał swoje fotografie, a ja i tata swoje.

– Aha – mruczę bez przekonania.

Przekrzywiam głowę. Patrząc na mamę i nie mogę oprzeć się wrażeniu, że mnie okłamała. Już mam spytać: „Było was stać na wyjazd nad morze, a na odbitki nie?”, ale ostatecznie gryzę się w język. Nie chcę naciskać, równie dobrze mogła nie pokazywać mi tych zdjęć. Zwłaszcza dzisiaj, w dniu urodzin taty, a przecież doskonale pamiętam, jak hucznie obchodziliśmy je co roku.

– Coś ci powiem. – Mama poprawia się na siedzisku. Chrząka kilka razy i bezwiednie przeczesuje włosy. Ten gest też jest „mój”, odziedziczony właśnie po mamie. – Kiedyś, dawno temu, byłam z Jackiem. Chodziliśmy ze sobą.

– Co? – Otwieram szeroko oczy. – W sensie, że byliście parą?

– Tak. Jacek to mój pierwszy chłopak. Byliśmy razem prawie trzy lata.

– O! – Aż się odsuwam, żeby z odpowiednim dystansem przetrwać tę wiadomość.

Cokolwiek by mówić, Jacek jest naprawdę super, bardzo go lubię i w pewnym sensie jest mi prawie tak samo bliski jak mama czy tata, ale przecież jest taki... Aż mnie wzdryga, gdy pomyślę, że mama i on mogli być kiedyś razem. Nie wiem, dlaczego tak się czuję, chyba nie znam siebie do końca, za to mama zna mnie doskonale i zauważyła, że mną trzepnęła ta wiadomość.

– Czemu cię to dziwi?

– On jest... – Odruchowo dotykam policzka, żeby upewnić się, że moja skóra jest gładka i bez skazy.

– W młodości cierpiał na trądzik. – Mama natychmiast się domyśla, co mam w głowie. – Bardzo mu dokuczał, ale wyszedł z tego, choć trochę śladów zostało. Kiedyś mi to przeszkadzało, ale teraz? Teraz nawet mi się podoba. Dodaje mu charakteru. Poza tym Jacek jest zadbanym facetem, nie możesz powiedzieć, że to brudas czy niechluj. Zawsze elegancko ubrany, wysportowany. Może się podobać.

– Może, pewnie, że tak, ale tata jest... był... – poprawiam się z niechęcią, lecz tak trzeba. Muszę wreszcie uświadomić sobie, że już go nie ma. – Tata był...

– Przystojny. Masz rację. Czarek był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego znałam. – Mama bierze do rąk jedno ze zdjęć i przez dłuższą chwilę zatrzymuje na nim wzrok. – Był

nieziemsko przystojny, miał doskonałą sylwetkę, cudowny głos, nie zapominaj o głosie – podkreśla. – Niski, męski, dźwięczny. A jak śpiewał? – Rozmarza się. – Przecież słyszałaś, jak twój ojciec potrafił śpiewać. Siedział przy ognisku, grał na gitarze *Stairway to Heaven*, śpiewał i patrzył na mnie. Jak on na mnie patrzył. – Przełyka ślinę. – Wszystkie dziewczyny zazdrościły mi Czarka. Zawsze. Najpierw dziewczyny, potem kobiety.

– Ale kiedyś byłaś z Jackiem.

– Tak.

– Zostawiłaś go dla taty? Bo się w nim zakochałaś?

– Poznałam tatę po dwóch latach znajomości z Jackiem. Najpierw nie dopuszczałam do siebie myśli, że mogę odejść, ale tak się nie dało. W końcu Jacek poprosił mnie o rozmowę, a ja nie mogłam kryć prawdziwych uczuć. Rozstaliśmy się, a kilka tygodni później zaczęłam oficjalnie spotykać się z Czarkiem.

– Jacek cię kochał?

– Bardzo.

– Ale on i tata... – Nie mogę pojąć, jak mogli się przyjaźnić, skoro jeden odebrał miłość drugiemu. – On nigdy się nie ożenił.

– Nie.

– Przez ciebie?

– Nie wiem.

– Ale ja wiem. Jacek nie mógł się zakochać w innej, dlatego nigdy się nie ożenił, a ty udajesz, że tego nie widzisz.

– Myślę, że sobie dopowiadasz.

– A co z tymi zdjęciami? – Wskazuję brodą na kasetkę. – Już wiem, czemu nie ma zdjęć Jacka. Pewnie je zabrał, gdy go rzuciłaś. Powiedz prawdę. – Jestem wkurzona, bo mama coś kryje przede mną. Ucieka wzrokiem, a jej dłonie lekko drżą.

– Masz rację. To on zabrał swoje zdjęcia i zerwał kontakt z nami na ponad rok.

– Ale potem mu przeszło?

– Minęło kilkanaście miesięcy i spotkaliśmy się znowu. To było w Turcji. Pojechałam z tatą po towar i ktoś nas okradł. Zabrał wszystkie pieniądze, które mieliśmy w hotelu. Nie zostało nawet na paliwo na powrót. Czarek dzwonił do Polski, do znajomych, ale nikt nie mógł nam pomóc, więc zadzwonił do Jacka, a ten, jak się okazało, też był wtedy w Turcji. Kilka godzin później przyjechał do nas, do hotelu, pożyczył nam pieniądze i tak jakoś... – Jej twarz rozjaśnia błądy uśmiech. – Nawet nie wiesz, jaka byłam szczęśliwa, że się pogodzili. Gryzło mnie strasznie, że to ja rozwaliałam ich przyjaźń.

– Dziękuję, że opowiedziałaś mi tę historię, choć prawdę mówiąc... – milknę na moment. – Jestem

zaskoczona. Nigdy nie sądziłam, że ty i Jacek byliście razem.

– Ale dlaczego tak cię to dziwi?

– Nie wiem, może dlatego, że od zawsze byłaś z tatą – mówię niezbyt rozsądnie.

– Tak, to jest argument. – Mama przyciąga mnie do siebie i mocno tuli.

– Mamo... – zagajam, bo właśnie coś mi przyszło do głowy. Czemu wcześniej tego nie zauważyłam? – Jacek w ogóle nas nie odwiedza.

– Wiem.

– Bo? – Spoglądam na nią.

– Chyba uznał, że powinien dać nam trochę czasu, a może sam też go potrzebuje?

– Musimy go zaprosić. Kiedyś prawie z nami mieszkał, był tu codziennie.

– Prawie codziennie – precyzuje mama.

– Częściej niż tata – mówię i przetykam gulę, która nagle pojawiła się w gardle.

Żałuję, że tak było. To tata wziął na siebie niezliczone wyjazdy i podróże służbowe po całym świecie, a jego współnik siedział w Warszawie. Teraz myślę, że to głupie. Tata miał nas, mamę i mnie, a Jacek jest sam, nikogo nie zostawiał w domu, nikt na niego nie czekał, chyba mógł poświęcić się dla przyjaciela? Czuję złość. Narasta we mnie gniew, bo przez niego straciłam cenne chwile, które mogłam spędzić z tatą.

I wtedy mama dolewa oliwy do ognia, pytając, czy możemy zaprosić Jacka na święta.

– Nie. Po co? – obruszam się od razu. – Nigdy nie był u nas w czasie świąt. Przecież zawsze jeździ do swojej rodziny, do Kielc – przypominam jej.

– W tym roku zostaje w mieście.

– To niech sobie zostaje, co mnie to obchodzi. – Wzruszam ramionami. Biorę zdjęcie, to pierwsze, na którym są moi rodzice, i patrzę na nie. – Niepotrzebny nam ktoś trzeci.

– Dobrze. Powiem Jackowi, że nie jest tu mile widziany.

Najpierw uderza mnie ton głosu mamy. Jest taki dziwny, nie pasuje do niej. Obraziła się? Nie wierzę. Patrzę na nią i nie wierzę, że mogła się obrazić z takiego powodu. I nagle uświadamiam sobie coś jeszcze. Musieli już o tym rozmawiać. O świętach. Które z nich zaproponowało wspólne święta? Oby Jacek, bo nie wybaczyłabym tego mamie. Przecież jest wdową! Tata zmarł pół roku temu, a ona już chce się pocieszyć? Wrócić do starego chłopaka?!

– Powiedz. Na razie nie chcę, żeby tu przychodził.

– W porządku. Myślałam, że chcesz, sama mówiłaś, że ci go brakuje.

– Nie mówiłam tak. Mówiłam, że kiedyś był tu codziennie.

– I że musimy go zaprosić.

– Zmieniłam zdanie. Chyba mogę?

– Możesz. Milenko, to wszystko jest dla ciebie trudne. – Zauważam łzy w kącikach oczu mamy. – Dla mnie też. Chciałam... – Spuszcza wzrok na kasetkę trzymaną na kolanach. – Może to nie był dobry pomysł.

– Jaki?

– Pokazać ci te zdjęcia.

– To był bardzo dobry pomysł.

– A może chcesz je zachować, zabrać do siebie, do pokoju?

– Nie. Mogą zostać u ciebie. Powinny. To twój mąż – oznajmiam twardo.

Mama bez słowa wkłada zdjęcia do kasetki, opuszcza wieko i patrzy na mnie pytająco.

– Dziękuję, że mogłam je zobaczyć. – Próbuję nieco ocieplić nastrój.

– To ja dziękuję – odpowiada po chwili. Wynosi kasetkę do sypialni, a gdy wraca, staje przy kominku i bez słowa wpatruje się w płonące szczapy. – Czarek był jak ogień. Gorący, nieokiełznany... Powinnam była bardziej uważać.

– Na co?

– Żeby się nie sparzyć. – Mama odwraca się, żeby móc spojrzeć mi w oczy. – Ale dawał ciepło. Bardzo mi tego brakuje – mówi cicho, niemalże szepcze.

Wstaję i podchodzę do niej, żeby się przytulić.

– Mnie też, mamusiu.



Paula

Tu się nie da po ludzku wyglądać. W sklepach same najtańsze farby, takie po dyszce za pudełko. Strach położyć to na głowę. Kosmetyczki brak, zbankrutowała przez covid. Fryzjerka przetrwała pandemię, ale boję się tam pójść, zważywszy na fryzury, które dumnie prezentują mieszkanki Grabówka. Ociepliło się, więc bereety oraz czapki poszły w kąć i zaczął się festiwal dziwnych pomysłów. Moja faworytka to „polska pantera”. Krótko obcięte włosy, kilka centymetrów, nie więcej niż pięć, a na nich blond pasemka. Z daleka wypisz wymaluj ciapki jak u pantery.

Wiem, jestem wredna. Wredna, wyobcowana, chamska – zwłaszcza dla inkasenta, który uparcie przynosi mi wydrukowane faktury mimo ciągłych próśb, żeby wysyłać je pocztą na firmowy adres, nietowarzyska, bo nikomu nie

mówię „dzień dobry”, nadęta i niemiła, ponieważ nigdy się nie uśmiecham, i jeszcze raz wredna, bo nie korzystam z karty płatniczej, płacę gotówką i zawsze czekam na resztę. Nawet jeśli to marne grosze. „Pieniądze trzeba szanować” – tak zawsze mówił tata. Więc szanuję.

A teraz zamierzam jakieś zarobić.

Właśnie dlatego jadę do pobliskiego miasteczka, żeby zaopatrzyć się w dobre kosmetyki. Kupuję kilka opakowań porządnej czarnej farby do włosów oraz hennę. Mieli nawet tę profesjonalną, pudrową. Jestem uratowana. Znów będę wyglądać jak człowiek. Wracam, obładowana zakupami. Maszeruję po lewej stronie jezdni, mimo że chodnik jest wyłącznie po drugiej.

Ledwie zamieszkałam w Grabówku, a dostałam nauczkę, jak kończy się paradowanie po chodniku. Coś poszło nie tak z poziomem jezdni i wzdłuż krawężnika zbiera się woda. Kiedy jakiś debil za szybko jedzie, urządza kąpiel przechodniom. Taką od stóp do głów, a dokładnie od majtek po włosy. Dwa razy czyścili mój piękny biały kożuszek w pralni chemicznej w Bielsku. Niestety, plamy nie zeszły i kożuch, ozdobiony ręcznym haftem, nadaje się do wyrzucenia lub „do pola” – jak mówią tutaj o odzieży, w której można pracować na zewnątrz.

Często podsłuchuję tubylców. Staję przy regale, biorę pierwszy lepszy makaron albo słoik

dżemu i udaję, że czytam etykietę, a tak naprawdę podsłuchuję, o czym gadają. Z reguły moimi ofiarami są kobiety. Ich rozmowy nie różnią się prawie niczym. Dom, dzieci, czasami praca, jakieś kłopoty i oczywiście ploty! O tak, specjalizują się w plotkach. Zastępują im Facebook, Twitter i Instagram razem wzięte. Właśnie tak dowiedziałam się o pracy. I właśnie dlatego musiałam kupić farbę, bo mam prawie czterocentymetrowe odrosty i okropnie to wygląda. Jakbym położyła sporą mysz na przedziaku.

Z ulgą wchodzę do domu, zamykam drzwi, zzuwam przemoczone kozaki, zdejmuję kurtkę i czapkę, z obrzydzeniem patrzę na swoją białą gębę i to coś, co mam na głowie, biorę głęboki wdech, bo naprawdę nie ma na co patrzeć, idę do kuchni, nastawiam czajnik, żeby zagotować wodę, wyjmuję z reklamówki zupkę vifon, kruszę makaron do miski, bezmyślnie czekam na pstryknięcie czajnika, zalewam makaron, wyjmuję czystą łyżkę ze zmywarki, idę do salonu, siadam, włączam telewizor i od razu ściszam głos, bo wystarczy sam obraz, dmucham na zupę, ale i tak parzy, jem, patrzę na jakiś film, jem, dmucham, parzę się w język.

Myślę. Nie mam żadnego szczególnego powodu, żeby tu być, nikogo nie znam, z nikim się nie umówiłam. Będę tu siedzieć, jak długo zechcę. Sama decyduję o tym, co i jak zrobię. Znów

mogę zapanować nad swoim życiem. Mogę? Nie wyłączyłam telefonu, bo nikt nie zadzwoni. Mija godzina. Siedzę z pustą miską w dłoniach i gapię się w ekran. Śpię z otwartymi oczami. Dopiero jakieś krzyki za oknem budzą mnie ze snu. Co teraz? Miałam zafarbować włosy. No tak. Czy umiem? To się okaże.

Odnoszę miskę do kuchni, zabieram z pokoju laptop, wchodzę na YouTube'a i szukam filmu z odpowiednim instruktążem. Zabieg wydaje się dosyć łatwy. Przygotowuję wszystkie potrzebne akcesoria, no prawie wszystkie, bo nie mogę znaleźć grzebienia, a zamiast specjalnego pędzelka do mieszania i nakładania farby muszę użyć szczoteczki do zębów, ale to mnie nie zraża. Nakładam śmierdzącą pačkę na włosy, ustawiam stoper, żeby nie przegapić odpowiedniego czasu, i zabieram się do odpisywania na maile. Nie jest ich dużo, zaledwie osiem, więc szybko załatwiam sprawę. Potem czas na pocztę tradycyjną. Otwieram wielkie pudło, które rano przywiózł kurier. Skądinąd nie mogę oprzeć się wrażeniu, że z tygodnia na tydzień dostaję coraz więcej dokumentów do podpisu. Gdy kończę, nie czuję prawej dłoni. Obiecuję sobie od dawna, że zacznę to czytać, choćby nagłówki, a kończy się jak zwykle. Nie mam pojęcia na czym złożyłam pięćdziesiąt, a może i więcej, autografów i parafek.

Stoper przypomina, że czas zmyć farbę. Idę do łazienki, ciekawa efektów. Staję przed lustrem i zauważam, że mam brudny policzek. Co najgorsze, to cholerstwo nie chce się zmyć. Trudno, pomyślę o tym później. Spłukuję włosy, farba dostaje się do oka, szczypie okropnie, po omacku biorę szampon, okazuje się, że to balsam do ciała. Ech... Kwadrans później mogę podziwiać swoje dzieło. Mysz zniknęła. Znów jestem brunetką od cebulek po koniuszki włosów. Jestem brunetką również na czole i obojgu uszach. Płyn micelarny jest bez szans. Podobnie mydło, szampon, a nawet ocet – szukałam ratunku u wujka Google. Mleczko do szorowania sanitariatów? Strzał w dziesiątkę! Cif z wybielaczem daje radę, teraz tylko modlić się, żeby skóra nie zlazła. Suszę włosy, modeluję, nakładam krem na spierzchniętą skórę na czole i cienką warstwę podkładu BB. Może być. Od biedy. Zresztą nikt nie będzie się przyglądał kandydatce na pracownika fizycznego. Mam być zdrowa, silna i pełna zapału. Wystarczy.

Boję się, że gdy będę dalej zwlekać, ktoś mnie ubiegnie. Dlatego nazajutrz wstaję o siódmej, znów myję włosy i układam, robię makijaż i wychodzę z domu. Na razie z zapału nici. Nadziei i wiary, że mi się spodoba, też nie mam. Zresztą po co nadzieja i wiara, skoro nie mam pewności, że dostanę tę pracę? Co najgorsze, nie wiem,

gdzie na mnie czeka (lub nie czeka), bo moje mimowolne informatorki wspomniały jedynie o pałacu. Staję na chodniku przed domem i się rozglądam. Ależ jestem głupia. Liczę, że pałac nadjedzie drogą i zaprosi mnie do środka? A może poszukać w necie? To jest pomysł. Wyjmuję z torebki telefon i wstukuję w wyszukiwarkę „pałac w Grabówku”. Zero wyników. Pięknie.

Już mam wrócić do domu, gdy u szczytu uliczki widzę jakąś starszą panią. Powoli jedzie na rowerze, a ja myślę, jak ją zaczepić. Chwilę później maszeruję dziarsko w stronę słońca. Miałam szczęście. Starsza pani wiedziała, gdzie jest pałac, wskazała drogę i nawet spytała, po co tam idę, a gdy odpowiedziałam, że złożyć podanie o pracę, dziwnie się uśmiechnęła i życzyła powodzenia.

Co najlepsze, pałac jest bardzo blisko. Dzie sięć minut spacerkiem. Cóż. Jedyne okolice, jakie eksplorowałam przez pierwsze dwa miesiące, to centrum Grabówka i ulica, przy której stoi mój dom. Nie zapuszczałam się dalej, bo na zewnątrz było paskudnie. Tak właściwie teraz też jest paskudnie. Nie lubię marca. Kwietnia też. Czy ja w ogóle lubię jakąś porę roku? Kiedyś lubiłam wszystkie. Każda miała swój urok. Wiosna, bo wtedy wszystko jest nowe i świeże, lato – wiadomo – wakacje, jesień też lubiłam, wracało się do szkoły, a popołudniami chodziłyśmy z mamą na spacer. A zima? Uwielbiałam

zimę, najbardziej grudzień. Teraz nie liczę czasu, nie patrzę na dni. Równie dobrze ktoś może wymyślić trzynasty miesiąc, pechowy. I piątą porę roku.

Dla mnie bez różnicy.



Milena

Bałam się świąt. To taki czas, gdy wszystko staje się intensywniejsze, zwłaszcza uczucia, również smutek, żal, tęsknota, pustka, a tych miałyśmy z mamą o wiele za dużo, nawet bez świąt.

Dwa dni przed Wigilią przyjeżdża babcia Bernadetta. Mama taty jest specyficznym człowiekiem, potrafi wkurzyć, ale rozbawić też umie. Babcia mówi o sobie „Moherowa Beretka” albo w skrócie Berka. „Berka, ty niezdaro...” – strofuje się, gdy coś jej nie wyjdzie. Na szczęście pochwalić samą siebie też potrafi, w przeciwnym wypadku byłaby nie do zniesienia.

Więc bałam się świąt, a mama jeszcze bardziej. Pierwsze święta bez bliskiej osoby są koszmarnie. Nasze były okropne, ale nie przez brak taty, ale chorobę, i muszę powiedzieć, że ten koszmar okazał się znacznie łatwiejszy do przetrwania. Zaczęło się nazajutrz po przyjeździe babci

niewinnym katarem i pokasływaniem. Mama rozchorowała się dzień po mnie. Obie przeleżałyśmy całe święta, trawione wysoką gorączką, która nie poddawała się nawet po pyralginie. Mama wezwała lekarza, ale nasza domowa pani doktor – babcia Berka – też chciała się wykazać. Pojechała z panem Józefem do miasta, nakupiła specyfików i z lubością katowała nas wytworami w rodzaju syropu z cebuli. Ja leżałam w swojej sypialni, a mama w swojej. Babcia biegła między nami, serwując cytrynowe krople i nacierając nasze dygoczące ciała cuchnącymi maściami.

– Czarus zadbał, żebym nie miała czasu o nim myśleć – sapie, masując moje plecy. – Dobry dzieciak z niego, nawet po śmierci troszczy się o starą matkę i daje jej zajęcie. Co byście beze mnie zrobiły? No powiedz, Milka.

– Nie mów tak do mnie. Mam na imię Milena.

– Czemu się obrażasz?

– Nie obrażam. Nie lubię tego zdrobnienia.

– Kiedyś lubiłaś, Czarus zawsze tak do ciebie mówił.

– Właśnie dlatego nie lubię.

Okłamałam babcie. Nie dlatego go nie lubię, nie przez tatę, ale przez fioletową krowę. Nie chcę być taka jak ona: wielka, potężna, zwalista – prawdziwa krowa. Nie. Dawniej mi to nie przeszkadzało, wydawało się ładne i słodkie, gdy tata mówił: „moja ukochana córeczka Milka”,

i często wyciągał z kieszeni marynarki czekoladkę albo batona. Teraz przeszkadza. Szóstka na początku? Śmiechu warte. Owszem, jest szóstka, ale za nią nie ma zera czy jedynki, ale dziesiątka.

Jestem gruba.

– Już nie będę do ciebie mówić Milka.

– Dziękuję.

– No i powiedz, jak byście sobie poradziły? Święta są, wasza kucharka ma wolne, a te dwie młode siksy to nawet ziemniaków nie ugotują. – Babcia nie ma dobrego zdania o naszej służbie.

Ledwie znosi pana Józka, za panią Basią nie przepada, Kingi nie znosi, bo się wymądrza, a Magdę i Joasię traktuje jak zło konieczne, więc gdy wszyscy wracają zaraz po świętach, nadyma się i oświadcza, że już nie jest potrzebna i czas na nią. „Niech babcia da spokój...” – tylko na to stać moją mamę, gdy słyszy jej słowa. Babcia zostaje aż do Sylwestra, tak właśnie postanawia. W przeddzień Nowego Roku czujemy się już znacznie lepiej, więc urządzamy małe przyjęcie. Tylko my trzy, reprezentantki trzech pokoleń. Idziemy spać zaraz po północy, a nazajutrz wstajemy bardzo późno, na tyle późno, by zjeść śniadanie przy akompaniamencie wiedeńskich filharmoników.

– A co z Jankiem? – pyta mama. – Nie pamiętam, kiedy tu był ostatnio.

– Pojechał z rodzicami na wczasy. Jak wróca, ma do mnie wpaść.

– A kto to Janek? – Babcia spogląda na nas zza grubych szkieł.

– Chłopak Milenki.

– O, masz chłopca? Czemu ja o tym nie wiem?

– Już wiesz – kwituję, sięgając po cukierniczkę.

Słodzę herbatę i długo mieszam bez słowa. Bo co tu mówić? Spotykam się z Jaśkiem od września, to bardzo luźna znajomość. Gdyby taka nie była, mój chłopak odwiedziłby mnie choć raz w czasie świąt, a nie wyjechał z rodzicami na Seszele czy inne Malediwy.

– Co to za jeden? – Babcia nie odpuszcza i wlepia we mnie uważne spojrzenie. – Ma jakieś nazwisko?

– Potocki.

– Potocki? To jakaś arystokracja?

– Można tak powiedzieć – odzywa się mama. – Bardzo miły chłopak. Rok starszy od Milenki, jest na pierwszym roku studiów. Grzeczny, ułożony, rodzice nieźle sytuowani – informuje.

– Cudownie! – Babcia klaszcze w dłonie. Jej pełna twarz aż lśni szczęściem. – Czemu wcześniej nie powiedziałyście?

– Nie pytałaś.

– Teraz pytam. Zdążę go poznać?

– Raczej nie. Wyjechał z rodzicami i rodzeństwem na wczasy. Wraca dopiero po święcie Trzech Króli.

– Co ma wisieć, nie utonie. Kiedyś go poznam osobiście, a na razie pokaż mi zdjęcie tego młodzieńca. Na pewno masz jakieś.

– Jakieś mam.

Z ociąganiem wstaję od stołu i idę po smartfon. Tylko na nim mam kilka zdjęć z Jaśkiem. Nie lubię się afiszować, więc jest ich niewiele. Jasiek podobnie, też nie przepada, kiedy ktoś wsadza nos w jego prywatne życie, choć ma to szczęście, że brukowce w ogóle nie interesują się jego rodziną. Nie powinien narzekać, bo nikt za nim nie łązi, nie robi mu zdjęć w najmniej odpowiednim momencie i nie próbuje wspinać się na ogrodzenie, żeby cyknąć fotę jak jedyna córka znanego miliardera wałęsa się po ogrodzie w wymiętych szortach i biustonoszu. Zazdroszczę mu tego.

A tak w ogóle to może się boi związku ze mną? Gdy wyjdzie na jaw, że się spotykamy, fotoreporterzy uprzykrzą mu życie, jak mnie i mamie. Tak sędzę. Jasiek ma poważne podstawy, żeby się bać. Notka o tym, że jedna z najbogatszych Polek ma chłopaka, na pewno wzbudziłaby sensację. Już widzę te urocze artykuły na Pudelku i podobnych stronach. I komentarze. Obrzydliwe, straszne, pełne nienawiści i jadu.

Co złego zrobiłam tym wszystkim ludziom, że tak mnie nienawidzą? Nie potrafię zrozumieć. Nie uszanowali nawet żałoby. Ech, nie chcę o tym myśleć. Nie. Dość.

Przysiadam obok babci i podaję jej telefon. Przez dłuższą chwilę badawczo się przygląda.

– Przystojniak. Chudy trochę, chyba za chudy dla ciebie? – Na moment odwraca wzrok od zdjęć, żeby mnie otaksować. Czuję, że jeszcze chwila i wyrwę jej telefon z rąk. – Ale nie martw się, każdy kawaler po ślubie przybywa. Na wadze – dodaje, jakbym była idiotką i nie rozumiała dowcipu. – Opierzy się.

– Mamo...

– No co? – Babcia przenosi wzrok na mamę.

– Dałaby mama spokój.

– Przewrażliwione jesteście. Obie – fuka pod nosem i wraca do podziwiania potencjalnego kandydata na mojego męża. – Czarny taki, ładnie. Podobny trochę do Czarusia. Też ma kędzierzawe włosy, ale oczy niebieściutkie jak niezapominajki. No ładny ten twój chłopak. Nie masz się czego wstydzić. I nazwisko porządne, nie jakiś tam Bauer czy Słonina, tylko polskie i szlacheckie. Ładnie.

Trochę mi przechodzi, gdy babcia z niekłamalnym zachwytem wyraża się o Jaśku. Nie wiem, czy coś nam wyjdzie, bo na razie spotykamy się rzadko, a nasze randki są krótkie i drętwe, ale

są. Czasami dostaję wiadomość na Messengerze, Jasiek dzwoni co parę dni, przez kilka minut referuje, co robił, opowiada, jak nurkował lub się wspinał. Ot, niezobowiązujące opowiadki, nic bliskiego, intymnego. Może jest taki? Powściągliwy? Mówi, że jego rodzice są strasznie religijni. Kto w dzisiejszych czasach modli się przed każdym posiłkiem i po nim? Nawet w restauracji. A jego rodzina się modli. Spytałam, jak to robią, czy klęczą, a może stoją wokół stołu i głośno odmawiają dziękczynienie? Powiedział, że nie. Siedzą i trzymają się za ręce, a głowa rodziny, czyli tata Jaśka, odmawia krótką modlitwę. Dla mnie to dziwne. Chyba nie chciałabym w tym uczestniczyć, a już na pewno nie w restauracji.

– Ile ma lat?

– Jest rok starszy od Mileny – mówi mama. – Studiuje.

Potwierdzam.

– Co studiuje?

– Architekturę. Jego rodzina ma kilka biur architektonicznych, rozsianych po całym świecie. W Szwajcarii i Kanadzie, a ostatnio otworzyli kolejne, w Dubaju.

– Dobra partia, ale nie tak dobra jak Milka – oznajmia babcia. W jej głosie brzmi wielkie zadowolenie i satysfakcja. – Nie słyszałam nigdy w telewizji o tej rodzinie, więc daleko im do nas. To się chłopakowi udało, że nasza Milka

zwróciła na niego uwagę! Jak wygrana na loterii! – Błyska zębami.

Miło popatrzeć na jej uśmiech. Ma nowe, porządne i trwałe zęby, a co ważne – białe, nie złote, jak jeszcze kilka lat temu. Tata długo namawiał babcię do zmiany. Dopiero argument, że złote zęby kojarzą się z „Ruskimi”, podziałał. Wybaczam jej nawet tę nieszczęsną Milkę, gdy widzę, jaka jest ze mnie dumna, a raczej z taty, bo przecież to on doszedł do wielkich pieniędzy, którymi teraz możemy się cieszyć. To tata i Jacek zbudowali naszą fortunę. „Od zera do miliardera” – tak zawsze mówił.

Za pół roku, na początku lipca, gdy stanę się pełnoletnia, połowa tej fortuny będzie w moich rękach. Tata wskazał mnie w testamencie jako jedyną spadkobierczynię. Ufał mi, skoro uznał, że osiemnastolatka będzie w stanie go zastąpić. Na razie wszystkim zawiaduje mama, ale tymczasowo. Za każdym razem, kiedy o tym myślę, chce mi się płakać. Wspaniale, gdy rodzice doceniają dziecko i nie mają go za kogoś głupszego od siebie tylko dlatego, że jest młodsze i nie ma doświadczenia. Wiem, jakie mam obowiązki. Mam się dobrze uczyć, zdobyć wyższe wykształcenie, ale nie ograniczać się tylko do nauki. Tata chciał, żebym po skończeniu liceum zaczęła pracować w firmie. Miałam zostać jego

asystentką. Los zdecydował inaczej, mimo to próbuję uwierzyć, że go nie zawiodę.

– A skąd się znacie? – Babcia oddaje mi telefon.

– Ze szkoły – odpowiada mama. – Chodzili razem do liceum.

– I dopiero teraz się spiknęli? Przecież on już się tam nie uczy.

– Co roku we wrześniu władze szkoły organizują bal dla wszystkich. Dla aktualnych uczniów i dla absolwentów – wyjaśnia oględnie mama.

– Och, to chyba dużo was bywa na tych balach?

– Niedużo. W klasie jest nas ośmioro, w całej szkole dwadzieścia dwie osoby. – Przypominam babci, że moje liceum to najbardziej elitarna szkoła w całej Warszawie.

W zasadzie nasza szkoła znajduje się w Aninie, całkiem blisko, jakieś pięć minut jazdy samochodem. Mieści się w przepięknej przedwojennej willi, oczywiście odnowionej i pilnie strzeżonej przez kilkunastu ochroniarzy. To bardzo droga szkoła, wysokość czesnego przyprawia o zawrót głowy, ale warto się tam znaleźć. Tak myślę.

Jeszcze chwilę obgadujemy Jaśka, a potem mama prosi nas o pomoc. Jak zwykle dostaliśmy mnóstwo kartek, życzeń i zaproszeń na niezliczone rauty i przyjęcia, choć trzeba przyznać, że i tak mniej niż w ubiegłym roku. Pewnie ze względu na wdowieństwo mamy. Odpisujemy

obie, ale podpisy składa tylko mama. Schodzi nam do południa, potem zjadamy obiad i idziemy na krótki spacer po parku. Babcia uznała, że odrobina świeżego powietrza nam nie zaszkodzi. Mamy ten luksus, że nie musimy jechać gdzieś daleko, żeby w spokoju przechadzać się zaśnieżonymi ścieżkami, patrzeć na gałązki świerków i jodeł uginające się pod ciężarem białego puchu i podziwiać, jak śnieg skrzy się niczym brokat w słonecznym świetle. Tata prócz działki, na której stoi rezydencja, dokupił kilka hektarów pól uprawnych oraz niewielki lasek. Te grunty przylegały bezpośrednio do posesji, więc wystarczyło je ogrodzić i zagospodarować. Zdecydował, że będziemy mieli swój własny park. Wprawdzie większość z niedawno posadzonych drzew i krzewów nie zdążyła jeszcze urosnąć, ale kilkanaście z nich prezentuje się całkiem okazale, bo zostały przeniesione z zagajnika lub kupione w firmie ogrodniczej specjalizującej się w sprzedaży wyrosniętych okazów. Mama pokazuje je babci, a ta wygłasza, że gdy ma się pieniądze, można kupić wszystko. Nawet trzydziestoletnie drzewa.

– Cudownie tu, prawie jak u nas, na wsi – mówi. Z naszych ust przy każdym oddechu buchają kłęby pary, więc zarządza odwrót. – Nie można przesadzać, jesteście świeżo po chorobie.

Spędzamy miły leniwy wieczór, urozmaicony oglądaniem prezentów. Podobnie mijają kolejne dni i w końcu babcia wraca do domu, a my zostajemy same. Mama stwierdza: „Tym razem nasza Beretka tak długo się zasiedziała, że aż mi jej brakuje”. Czuję podobnie. Pusto bez babci i choć czasami potrafi powiedzieć coś zupełnie bez sensu, a jej ciągła gadanina i dyrygowanie wszystkimi, włącznie z panią Basią i panem Józkiem, może wkurzać, ale i tak wołałabym, żeby posiedziała u nas jeszcze trochę. To zaskakujące, bo pierwszy raz tak myślę. Może w jakimś stopniu zapełnia pustkę po tacie? Przecież to jego mama, ktoś bardzo bliski. Trochę szkoda, że nie chce się przeprowadzić do Anina. Woli swoją małą wioskę pod Kielcami i chociaż tata nie raz i nie dwa zagadywał, czy babcia nie wołałaby mieszkać z nami, zawsze odmawiała. „Nie przesadza się starych drzew” – to jedno z jej ulubionych powiedzonek.

Żałuję, że nie przypomniałam sobie o nim, gdy spacerowałyśmy po parku. Powiedziałabym babci, że nie ma racji – można przesadzić stare drzewo, tylko trzeba wiedzieć jak.



Paula

Dostałam pracę w pałacu, choć nie od razu. Najpierw musiałam zmierzyć się z Markiem Wąsikiem. To tutejszy kierownik. Człowiek od wszystkiego, jak sam się określił. Wszystko było dobrze, póki nie powiedziałam, że nie chcę żadnej umowy...

Siedzimy u niego w biurze, on w fotelu, ja na niewygodnym krześle. Już zdążyłam się przedstawić, powiedzieć, ile mam lat i gdzie mieszkam, pochwalić kwalifikacjami i doświadczeniem, czyli wyznać prawdę, że skończyłam liceum ogólnokształcące i to całe moje wykształcenie, oraz napomknąć, że nie boję się żadnej pracy, również fizycznej.

- Jak to bez umowy?
- Normalnie. Na czarno.
- Chcesz pracować na czarno?

– Tak.

– A dlaczego, jeśli wolno spytać? – Świdruje mnie swoimi małymi oczkami. Są małe i ledwie je widać, ponieważ mister Wąsik jest dosyć pulchny. I to tak brzydko pulchny. Kształtem przypomina kulę.

– Mam swoje powody.

Poprawiam się na krześle. Jest okropnie niewygodne. Zresztą ogólnie czuję się tu bardzo niekomfortowo. Raz, że boję się reakcji Wąsika, a dwa – przeszkadza mi zapach. Ten człowiek musiał wylać na siebie wiaderko perfum. Aż szczypie w oczy.

– Czyżby sprawa komornicza? – Serwuje mi lisi uśmiezek.

– Nie. Żadna sprawa komornicza.

– Więc co?

– Dostaję rentę i nie chcę jej stracić.

Trudno, musiałam coś wymyślić, a renta wydała mi się najmniej podejrzana.

– A po kim?

– Nie chcę o tym rozmawiać. To dla mnie bardzo przykra sytuacja i świeża. – Pociągam nosem. A nuż ma miękkie serce i nie będzie dopytywał.

– No dobrze. Skoro tak... – chrząka. – Niech będzie na czarno, ale... – Podnosi wskazujący palec. – Proszę się jeszcze nie cieszyć. Muszę zapytać przełożonego.

– Dobrze, poczekam.

– Napisz tutaj numer do siebie. – Przesuwa w moją stronę blok z karteczkami. – Od razu mówię, że „na czarno” nie znaczy więcej kasy, bo bez podatków i zusów.

– To zrozumiałe. – Zapisuję numer telefonu i imię. – Będę wdzięczna, gdy da mi pan tę pracę.

– Na wdzięczność przyjdzie czas. – Tym razem mam okazję podziwiać całe uzębienie Wąsika i nie wzbudza to we mnie zachwyty. Oj, nie.

Pobieźnie przedstawia, co mogłabym robić, wymienia stawkę, czyli ustawową minimalną za godzinę, burczy, że to dużo za dużo, ale „co począć”, i oznajmia, że w zeszły poniedziałek dał ogłoszenie o wakacie i jeszcze zgłaszają się kandydatki, bo tutaj, na wsi, roboty „ni ma i nie będzie”. Dlatego muszę cierpliwie poczekać, aż zakończy rozmowy kwalifikacyjne z wszystkimi chętnymi.

Co za idiota, aż mi słabo. Przysięgam.

Mijają dwa tygodnie, już straciłam nadzieję, że ktoś do mnie zadzwoni i proszę, jaka niespodzianka? Jednak mam tę pracę! Czuję dumę, bo zrealizowałam część planu. I to jedną z trudniejszych. Zgłaszam się w poniedziałek. Pięć minut przed ósmą wkraczam do budynku, gdzie już czeka na mnie Dorota. Wychodzimy na zewnątrz, bo dzisiaj mam pracować w ogrodzie. Dorota to moja bezpośrednia przełożona,

szefowa takich jak ja, czyli zwykłych pracowników fizycznych, bez „specjalistycznych kwalifikacji”. Rzeczywiście nie mam żadnego przygotowania do pracy w ogrodzie czy przy sprzątaniu, więc ją ostrzegam, żeby nie oczekiwała po mnie zbyt wiele, a ona parska śmiechem, po czym zapewnia, że to, co potrzebne, czyli młodość i zdrowie, mam na pewno.

– Powiedz mi dokładnie, co mam robić. Nie chciałabym zawalić pierwszego dnia.

– Mówiłam. Liście trzeba zebrać, spakować i zanieść do kompostowników – tłumaczy, gdy zmierzamy zwirowaną ścieżką do oddalonej części parku, gdzie mam porządkować trawnik po zimie.

Podpytuję ją o detale, a ona ciągle powtarza, że wyjaśni mi wszystko na miejscu. Na szczęście właśnie tam docieramy i Dorota może wreszcie pokazać mi dokładnie, co mam robić dzisiaj, jutro i pojutrze. Uznała, że trzy dni powinny wystarczyć na zebranie przegniłych liści z trawników. Podchodzimy do małej komórki, gdzie są narzędzia, dostaję grabie, worki, sznurek i poradę, że przy transporcie liści mogę skorzystać z wózka.

Zostaję sama. Dorota ma przyjść w połowie dniówki, sprawdzić, jak mi idzie. Trochę żałuję, że nie wzięłam słuchawek. Włączyłabym jakąś stację radiową, a tak muszę pracować w ciszy.

Jutro się przygotuję. Na pewno założę wygodniejsze spodnie, bo te ciągle zsuwają się z tyłka. I zepnę włosy albo obwiążę chustką. Pracuję, schylona, a długa grzywka przeszkadza, co chwilę zakładam ją za ucho, ale siedzi tam kilka sekund i znów łaskocze w twarz i wchodzi w oczy.

Po godzinie jest mi gorąco jak na plaży. Spociłam się, więc zrzucam kurtkę. Ale jest plus. Mam mokre włosy i już nie łaskoczą. Tkwią grzecznie za uchem. Dobrze i to. Po kolejnej godzinie zaczyna mnie boleć kręgosłup. Na to raczej nie ma rady i będzie coraz gorzej, ale się nie poddaję. Grabię liście, pakuję do worków i starannie ugniatam, żeby zmieściło się jak najwięcej. Co pewien czas spoglądam z zadowoleniem na oczyszczony trawnik. Przed dwunastą odwiedza mnie Dorota. Kiwa głową, gdy widzi efekty. Nie wiem, czy z politowaniem, czy z podziwem.

– Ładnie. Jesteś bardzo dokładna. Dobrze. – Zagadka się rozwiązuje. – Teraz tylko popracuj nad tempem i będzie doskonale.

„Nad tempem? Ech...” – myślę. Wyciskam z siebie siódme poty, a ta mówi, że mam szybciej zasuwąć?

– Tak się nie da. Albo dokładnie, albo szybko – oponuję, trochę urażona jej krytyką.

– Da się. Wszystko się da, zobaczysz. Masz piętnaście minut przerwy. Zjedz coś, a jak chcesz ciepłą herbatę, w komórce jest czajnik

elektryczny. – Wskazuje brodą na budynek. – Woda też jest, w butelkach. Powinna tam być jeszcze jedna pełna.

– Aha. – Cóż. Nie wzięłam nic z domu, nawet batonika. Gdy powiedziała o jedzeniu, od razu zaburczało mi w brzuchu. – A herbata i cukier są?

– Ee... – Z rozbawieniem unosi brwi. – Tak dobrze nie ma. To nie kawiarnia, tylko schowek na narzędzia. Dobrze, że prąd jest.

– Moim zdaniem pracownikom należą się ciepłe napoje. Zwłaszcza jak jest zimno, a pracuje się na zewnątrz – mówię. – A w lecie chłodne. Oczywiście za darmo. Przecież do powinności pracodawcy należy zapewnienie personelowi takich napojów.

– Powinności pracodawcy? – Dorota wybałusza oczy.

Nagle dociera do mnie, że popełniłam straszny błąd. I nie chodzi o moje wymagania czy stawianie żądań, tylko o sposób przekazu.

– Uważam, że powinnam dostać za darmo picie. – Próbuję nieco zatrzeć wrażenie, jakie wywarły moje słowa.

– Nie wiem, skąd cię przywiało i co ukrywasz, bo w plotki się nie bawię, ale jedzie mi tu czołg – naciąga dolną powiekę oka – jak ty ze wsi jesteś. Nikomu do życia nie zaglądam, ale swoje wiem. – Wyciąga rękę, żeby chwycić moją prawą dłoń. Odwraca ją i patrzy na cztery czerwone

pęcherze. – Załóż jutro rękawiczki. Dobrze ci radzę.

– Wezmę jakieś. Dziękuję.

Czuję panikę, że jeszcze chwila i Dorota odkryje mój sekret, bo wpatruje się we mnie z uwagą. Na szczęście odpuszcza. Mówi, że zajrzy przed czwartą, i zostawia mnie samą. Zapamiętuję, co mam przygotować na jutro: kilka saszetek z herbatą, cukier, rękawiczki i coś do jedzenia! Jestem pewna, że wieczorem będę płakać, bo pęcherze na dłoniach są coraz większe. Trudno. Mam w domu specjalny sztyft do stóp. Nowe buty potrafią solidnie dokuczyć, dlatego kupiłam ten preparat. Na skórze dłoni również powinien się sprawdzić.

Zerkam na zegarek. Trzecia. Zawożę sześć worków pod wiatę i szybko wracam, bo czas mnie goni. Ledwie chwytam za grabie, gdy do moich uszu dobiega dziwny odgłos. Odwracam się, czujna, i skupiam uwagę na kępie niskich iglaków rosnących nieopodal. „Pies?” – myślę, próbując wypatrzyć, kto lub co tam szeleści i szura. Aż podskakuję, widząc, że zza cisów wyłania się jakiś mężczyzna. Nie zauważył mnie, ma schyloną głowę i mamrocze coś do siebie. Nagle się prostuje i dopiero teraz dostrzega, że stoję kilka metrów przed nim.

– Hi! – wita się po angielsku. A przynajmniej tak to brzmi.

– Hi – odpowiadam.

Przez chwilę mierzymy się wzrokiem. Szybko skanuję postać mężczyzny, a raczej chłopaka. Nie wygląda groźnie, lecz na wszelki wypadek dotykam tylnej kieszeni dżinsów, żeby sprawdzić, czy mam pod ręką telefon. „Blondyn, krótko obcięty, nordycki typ urody” – oceniam błyskawicznie. Na oko ma jakieś dwadzieścia, może dwadzieścia parę lat. Jest dosyć wysoki, szczupły, ale solidnie umięśniony. Powiedziałabym, że trochę za żylasty. Zwłaszcza jego uda, odsłonięte, bo założył krótkie i obcisłe szorty. Prócz nich ma na sobie czarną przylegającą koszulkę z długimi rękawami, skarpety i buty do biegania. „Do biegania? Co on tu robi?” – myślę, potrząsając z niedowierzaniem głową. Przede wszystkim jak się tu dostał? Przecież cała posesja nie dość, że jest ogrodzona wysokim dwumetrowym murem, to jeszcze chroniona przez strażników i wyposażona w kamery rozmieszczone na ogrodzeniu.

– Co pan tu robi? – przerywam milczenie, bo nie będziemy stać jak dwie woskowe figury i gapić się na siebie. Tym bardziej że mam robotę.

– Eee... – bąka i lekko się uśmiecha. – Biegałem.

– Widzę.

– Wystraszyłem cię? – Jego głos brzmi dziwnie. Może nawet nie głos, ale akcent.

– Nie.

– Trochę wystraszyłem. – Wyszczерza zęby.

Od razu zauważam, że nosi aparat ortodontyczny z jaskrawozielonymi gumkami. Widać je z kilometra. Żenada.

– Nie boję się ciebie. Mam grabie. – Unoszę moje narzędzie pracy. – W razie czego nie zawaham się ich użyć.

– Jesteś groźna.

– Chyba groźna? – poprawiam go.

– To przez aparat. Czasami mówię źle – artykułuję starannie ostatnie słowo. – Przepraszam.

– Ja się nie gniewam. Nie mam czasu – kwituję, wzruszając przy tym ramionami.

Intruz robi kilka kroków i staje przede mną. Dopiero teraz mogę dokładnie go pooglądać. Trzeba przyznać, że przystojniak z niego. Ma bardzo męską twarz, z mocno zarysowaną linią żuchwy, a jego niebieskie oczy, piękne i duże, otaczają wachlarze gęstych i długich rzęs. Co rzadko spotykane u naturalnych blondynów, nie są jasne, czarne też nie, ale wystarczająco ciemne, by podkreślić urodę i podbić kolor tęczywek. Brwi podobnie. „Ależ z ciebie ciacho, chłopaku...” – wzdycham bezgłośnie i z wrażenia przełykam ślinę, bo to chyba najprzystojniejszy facet, jakiego widzę na własne oczy.

– Jak masz na imię?

– A ty? – odpowiadam pytaniem.

Też coś, żebyś ja pierwsza miała się przedstawić?! Co za maniery? Może i prezentuje się

niczym Mister Uniwersum, ale kultury za grosz. Poza tym nadal nie wiem, co on tu robi i jak dostał się na posesję. Na złodzieja raczej nie wygląda.

– Ty pierwsza. – Znów błyska zębami i fluorescencyjną zielenią gumek. – Damy przodem. – Wysuwa przed siebie prawą dłoń.

– Jesteś damą? – Na sekundę spuszczam wzrok, żeby spojrzeć na jego rękę.

– Nie rozumiem.

– To kobieta pierwsza wyciąga rękę. Nie facet.

– Aha. – Natychmiast kryje ją za siebie. – To jak masz na imię?

– Nie mam czasu – fukam.

– Dziwne imię. Nie pasuje ci.

– To nie imię! – Przewracam oczami.

– To jak? – Przechyliła głowę i bezczelnie się uśmiecha.

Chcę już skończyć tę bzdurną pogawędkę. Za chwilę przyjdzie Dorota i dopiero będę mieć problem, gdy na jutro i pojutrze zostanie mi tyle pracy, że umrę tu ze zmęczenia.

– Paula – mówię.

– Paula? O! – Jego szerokie i gęste brwi unoszą się ku górze. Zauważam kolejny detal: są lekko zrosnięte na środku. To chyba jedyny defekt urody Pana Ciekawskiego. – Paula. Nie znam takiego imienia. To polskie?

– Nie. Ruskie! – odwarkuję. – Paula, czyli Paulina. Skrót, zdrobnienie, Paula i już.

- Nie złość się.
 - Nie złościę się. Nie mam czasu na rozmowy, muszę to uprzątnąć. – Macham grabiami w bliżej nieokreślonym kierunku. – A ty zawracasz mi głowę. A tak w ogóle skąd się tu wziąłeś?
 - Nie spytasz, jak mam na imię?
 - Nie jestem ciekawa.
 - Tam, za mną, jest furтка. – Na moment spojłła przez lewe ramię. – Wystarczy mieć klucz.
 - A ty masz?
 - Umiem się wspinać.
 - Wiesz, że to nielegalne? Tu nie wolno wchodzić bez zezwolenia. Po to jest ochrona, żeby intruzi tacy jak ty nie wchodzili bezprawnie na posesję.
 - Widocznie słaba ta ochrona – parska śmiechem.
 - Po co ja w ogóle z tobą gadam? – Z niedowierzaniem potrząsam głową.
 - Bo ci się podobam.
 - Co?! – Gdyby nie grabie, wziąłabym się pod boki i go wyśmiała. – Wiesz co, nadęty i zbyt pewny siebie dupku? Nie mam czasu na pogawędki.
- Odwracam się na pięcie, energicznie przemierzam trawnik, żeby być jak najdalej od tego błazna, i zaczynam grabić liście. Może się znudzi i sobie pójdzie tam, skąd wylazł. Niestety. Mija kilka, może kilkanaście sekund i Mister Dupek

staje tuż obok. Przez chwilę patrzy, jak pracuję, i nagle zabiera mi grabie. To znaczy próbuje zabrać, ale ja nie puszczam. Na czas zdążyłam się zorientować co do jego zamiarów i trzymam drewniany trzonek niczym coś najcenniejszego, ewentualnie ostatnią deskę ratunku.

– Ej! Co robisz?! – pytam, wzburzona do granic.

– Chcę ci pomóc.

– Chyba kpisz?

– Nie – odpowiada, nadal nie zwalniając chwytu dłoni. – Pomogę ci.

– Idź stąd. Zaraz ktoś cię zauważy i będziesz miał kłopoty. Zobaczysz.

– Nie boję się kłopotów.

– Masz coś z głową? – wypalam, bo koleś z minuty na minutę denerwuje mnie coraz bardziej. Szkoda, że wraz z rosnącą irytacją wzrasta mój zachwyty urodą Pana Dupka Natrętnego.

– Z głową? Chyba nie. Za to ty masz coś z twarzą. Z buzią – dodaje szybko.

– Niby co?

– Mnie to wygląda na błoto. Albo psią kupę.

– Sam masz psią kupę na twarzy! – wypalam, oczywiście wzbudzając tym kolejny wybuch śmiechu. Chryste, jeszcze sekunda i coś mu zrobię. Kopnę w krocze albo walnę grabiami, choć to drugie jest utrudnione, bo Pan Psia Kupa trzyma je teraz oburącz i nie zamierza puścić. – Zaraz przyjdzie tu moja brygadziśka. Kiedy cię

zobaczy, na pewno da znać ochronie. Na twoim miejscu rozważyłabym szybką ewakuację.

– Powiedz, jak to możliwe, że taka ładna dziewczyna, inteligentna i dowcipna, jest sprzątaczką.

– Nie jestem sprzątaczką. – Wzgardliwie wydymam usta.

– To ponocniczką ogrodnika.

– Czym? – Odchyłam głowę, z trudem panując nad sobą. – Wiesz, co to nocniczek?

– Tam się siusia.

– Otóż to.

– To jak jest poprawnie?

– Pomocnicą.

– Aha, dziękuję. Czasami myślę litery.

– Cały jesteś pomyłony, a teraz serio, zostaw te grabie i odczep się.

– Okej. – Nagle chłopak odpuszcza.

Nie mogę powiedzieć, że to przewidziałam. Zaskoczył mnie. I chyba nawet trochę rozczarował. Znów grabię liście, a on stoi gdzieś za mną i pewnie się gapi. Trudno. Jak chce, niech się gapi. Ukradkiem zerkam na zegarek. Najpóźniej za pół godziny przyjdzie tu Dorota, a wtedy niech się dzieje, co chce. Słyszę szuranie kroków, więc ostrożnie spoglądam za siebie. Niespodziewany przybysz najwyraźniej uznał, że nie jestem zainteresowana dalszą pogawędką, bo oddala

się w stronę cisowego zagajnika. Gdy minutę później zza pleców znów dobiega ten sam odgłos, nawet się nie odwracam. Trochę mnie to złości, ale uczciwie muszę powiedzieć, że prócz irytacji czuję coś na kształt radości. Zawsze to jakieś urozmaicenie mojej arcynudnej pracy. Poza tym liczę na Dorotę i małą aferę, gdy stwierdzi, że ktoś niepowołany wlaźł na teren posesji.

Nie przerywam, grabię liście, udając, że nie zauważam piękniejsia, ale jak oprzeć się ciekawości? Tym bardziej że chłopak szura i szura. W końcu się odwracam i opada mi szczęka. Uparciuch znalazł drugie grabie i ostro nimi zasuwawa. Na pewno idzie mu znacznie szybciej niż mnie, choć dokładny to on nie jest. Zostawia za sobą dużo liści, a gdy zabiera na grabie sporą kupkę i ładuje ją do worka, gubi przy okazji dziesiątki kolejnych.

– Skoro uparłeś się, żeby mi pomóc, rób to staranniej, dobrze?

– Na razie pobieżnie je sprzątnę – odpowiada, nie patrząc na mnie.

– Jak chcesz.

Po kilku minutach spędzonych wyłącznie na pracy postanawiam trochę zmienić jej tryb. Mój pomocnik odwala główną robotę, a ja idę za nim i zbieram pozostałości. To znacznie lżejsza praca, grabie nie są obciążone, w zasadzie sunę nimi

powoli lub ciągnę za sobą. Schylać się też nie muszę, bo na razie liści jest zbyt mało, by uformować kopkę.

– Chyba wystarczy na dzisiaj – oznajmia. – Już czwarta.

– Serio?

Odsuwam rękaw bluzy i faktycznie. Minęła czwarta, jest nawet pięć po. A Dorota? Czemu nie przyszła? Pewnie coś jej wyskoczyło albo o mnie zapomniała.

– Jutro też tu będziesz?

– A co? Chcesz mi znów pomagać?

– Jutro nie mogę.

– Szkoda – mówię bez namysłu. Ledwie to powiedziałam, a na jego twarzy pojawia się triumfalny uśmiech.

– Moja pomoc się przydała.

– Trochę tak. – Rzucam grabie na trawnik i ostrożnie rozcieram dłonie. „Będę płakać. Na pewno” – myślę, czując, że szczypią mnie ich wnętrza. Kontrolnie rzucam okiem. Niektóre pęcherze zdążyły już pęknąć i cieknie z nich bezbarwny płyn. „Auć...”

– Pokaż, co się stało.

– Nic, mam odciski od grabi.

– Czemu nie nosisz rękawic roboczych?

– A ty czemu nie nosisz?

– Noszę. – Podnosi obie dłonie i pokazuje, że ma na nich rękawiczki. Wprawdzie to specjalne

rękawiczki dla biegaczy, takie bez palców, ale na pewno w jakimś stopniu chronią.

– No widzisz. Przewidziałeś, że będą potrzebne.

– Mam na imię tak samo jak ty – oznajmia nagle.

– Paulina? – Żartuję, bo powiedział to zupełnie bez związku.

– Masz na imię Paula.

– A ty Paul?

– Paweł.

– Bardzo mi miło – mówię. – Nie podam ci ręki, bo mam brudną.

– Poczekaj. – Szpera w małej saszetce, którą ma przypiętą do pasa, i po chwili wyciąga jednorazową antybakteryjną chusteczkę. Podaje mi ją bez słowa. Czyszczę dłonie, czując, że alkohol szczypie w ranki. Kilka razy nie mogę powstrzymać się przed syknięciem z bólu, pewnie dlatego Paweł oznajmia: – Nie powinnaś jutro grabić. Niech ta pani, która miała tu przyjść, da ci inną pracę. Lżejszą.

– Przekażę, na pewno cię posłucha – stwierdzam z przekąsem. Zwijam chusteczkę w kulkę i rzucam na kupkę liści.

– To nie obóz pracy.

– Uhm.

– Muszę już iść.

– Tak? – Zauważam, że patrzy gdzieś za mnie. Odwracam się, żeby dostrzec, co go tak

zafrapowało. Nic nie widzę, bo teren opada, a ścieżka, którą tu przyszedłam z Dorotą, jest skryta w dolince, za to słyszę coraz wyraźniej dobiegający stamtąd odgłos rozmowy i kobiece chichotanie.

– Trzymaj się.

Paweł znika jak kamfora. O tym, że był tu przed chwilą, świadczy jedynie druga para grabi i papierowa kulka na szczycie małej górki z liści. Nie mówię Dorocie, bo to ona i jeszcze inna współpracownica – Iza, o Pawle. Po co jej ta wiedza, zresztą pod koniec było fajnie, zawsze to jakieś urozmaicenie. Dorota chwali, że całkiem sprawnie się uwinęłam, oczywiście pyta, czemu używałam dwóch par grabi, a ja mętnie tłumaczę, że sprawdzałam, czy nie da się ich używać razem. Zamykam narzędzia w komórce i z Dorotą oraz Izą wracam do naszej służbówki.

Przed piątą jestem w domu. Zmęczona do granic. Nie mam na nic siły, a już na pewno nie na przygotowanie czegoś do jedzenia, o wybieżce do sklepu też nie myślę. Znajduję chińską zupkę i zjadam ją ze smakiem, jakby została przyrządzona przez najlepszego kucharza. Biorę długą leniwą kąpiel w wannie, prawie w niej zasypiam. A moje pęcherze? Smaruję maścią z witaminą A i zakładam na noc rękawiczki. Padam jak kawka. Rano ze zdumieniem stwierdzam, że nic mi się nie śniło. Cudowne uczucie

wstać z głową czystą od sennych koszmarów.
Nawet gdybym znów miała grabić liście i docze-
kać się jeszcze większych pęcherzy, i tak warto.